

Doceniona przez czytelników serwisu

Lubimyczytac.pl

„...nieprzerysowana i wciągająca...
bohater konkretny.”

„Bardzo ciekawa, zwarta opowieść.”

„Bardzo, ale to bardzo szanuję autora...
za ostatnią stronę.”

Życie nie daje drugich szans.
Ono daje **ostatnie ostrzeżenie.**

Kamil
Chmielewski

SPOWIEDZ WITKA

Spowiedź Witka

Kamil Chmielewski



DARK BOAT

Życie nie daje drugich szans.
Ono daje ostatnie ostrzeżenie.

Kamil
Chmielewski

SPOWIEDZ WITKA

Copyright © by Dark Boat, 2025

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wszystkie podobieństwa do prawdziwych instytucji są przypadkowe.

Tekst jest w całości fikcją literacką. Nazwiska prawdziwych osób i nazwy marek nie są wciągnięte w wątek fabularny i ich wykorzystanie nie ma na celu obrażenia tych osób, ani reklamowania lub antyreklamowania marek. Są to nazwiska i nazwy powszechnie znane i występujące w sferze polskiej i zagranicznej popkultury.

Wydanie I, Łódź 2025

ISBN: 978-83-978084-0-9

Redakcja i korekta: Joanna Strzelec

Skład i konwersja do wersji elektronicznej: Karol Łukomiak

Projekt okładki: Karol Łukomiak

Wydawnictwo Dark Boat

email: wydawnictwo@darkboat.pl

Instagram: [@wydawnictwodarkboat](https://www.instagram.com/wydawnictwodarkboat)

Drodzy Czytelnicy,

„Spowiedź Witka” nie jest historią jednego człowieka. To pięć różnych życiorysów, które usłyszałem, zebrałem oraz zapisałem i ubrałem w jedną opowieść.

Moim informatorem był emerytowany policjant oraz ludzie, którzy wiedzą, jak wygląda świat za kratami. Jednak, żeby ta historia miała rytm, narrację i emocje, musiałem wszystkie ich opowieści złożyć w losy jednego człowieka, który mógł żyć naprawdę.

Kamil

1

Wszystko zaczęło się, kiedy byłem w szóstej klasie. Wczesna wiosna, pierwszy cieplejszy dzień po długiej zimie. Wuefista wyszedł z nami na dwór. Pamiętam, że graliśmy z klasą szóstą a w nogę, a nauczyciele siedzieli pod drzewami na krzesłach, które wcześniej wynieśli dla nich uczniowie.

Boisko było duże, piaszczyste, bez jednego źdźbła trawy. Należało do najlepszych w mieście, bo w innych szkołach były tylko betonowe. Bramki mieliśmy metalowe, ale oczywiście bez siatek. Nie było też wymalowanych linii, jednak nikt się tym specjalnie nie przejmował. Każdy wiedział, gdzie jest środek, gdzie bramkarz może łapać piłkę i skąd wykonuje się rzut karny. Po szkole chodziliśmy grać w jedno miejsce. Było w miarę równe i, w porównaniu

z innymi, całkiem spore. Za murawę służyła nam wydeptana trawa, a za bramki dwa kije. Niektórzy z nas nawet tam nie mogli zagrać, bo starsi nas wyganiali. To oni rzadzili, to oni grali i dobierali kogoś od nas do składu, jak było ich za mało. Byłem dobry, więc zazwyczaj mnie brali.

Teraz infrastruktura sportowa jest dużo lepsza, ale nie ma chętnych. Patrzę na te dzieciaki, na te puste boiska... Ech. Albo naprawdę mamy ten cały niż demograficzny, albo młodzi siedzą tylko w domach przy komputerze, z telefonem w ręku. Ewentualnie na ławce w parku, ale z nosem w ekranie. Kiedyś było inaczej. Biegaliśmy po podwórku do późna, do zachodu słońca, dopóki matki nie zawołały nas z okna na kolację, na którą zazwyczaj były trzy kromki chleba i gotowana parówka.

O korko-trampkach mogłem tylko pomarzyć. Takie prawdziwe, sportowe buty były poza moim zasięgiem. Nawet nie wiedziałem, że istnieją korki wkręty, które dzisiaj są modne

wśród młodzieży. Ja miałem jedną parę butów do wszystkiego: na WF, na lekcje, do biegania po podwórku. Grałem w nich na sali gimnastycznej, na boisku szkolnym i betonowym oraz na trawie.

Dziś patrzę na półki w sklepie i aż nie dowierzam. Są buty do biegania, buty halowe, korki na trawę, wkręty... Wszystko markowe, kolorowe, lekkie jak piórko. A za moich czasów? Jedne buty do wszystkiego, które musiały wiele przetrwać: skakanie przez płoty, kopanie piłki, bieganie po kałużach. Jak się rozleciały, to nie było gadania – musiałeś chodzić w rozwalonych, dopóki mama nie załatwiła nowych.

Co prawda, nie wyróżniałem się tym specjalnie, bo, na szczęście, nie byłem jedynym chłopakiem, który chodził w butach po starszym bracie. Jednak byli też tacy, którzy mieli więcej szczęścia. Kilku bogatszych kolegów, którym rodzice kupowali nowe ciuchy, dawali kieszonkowe. Mogli je wydać na co chcieli, na oranżadę, gumy czy inne słodkości, na które akurat mieli ochotę.

Wtedy, jeszcze jako dzieciak, obiecałem sobie coś ważnego, a mianowicie, że moje dzieci będą miały wszystko nowe, najlepszej jakości, z najlepszej firmy. To one będą wyznaczały trendy na osiedlu. Zawsze będę im kupował nowe buty. Nie będą nosić używanych po starszym bracie, tak jak to było u mnie. Moje nie musząc się wstydzić ani ukrywać swoich starych, wydeptanych butów w dorosłym życiu zawsze będę kupował nowe buty.

Moja matka pracowała kiedyś w PGR-ze. Kiedy zdałem do piątej klasy, wszystko się zmieniło. Przedsiębiorstwo padło, podobnie jak inne fabryki. Mama przez pół roku nie mogła znaleźć roboty w miasteczku. W końcu zaczęła dojeżdżać do Olsztyna – trzydzieści kilometrów w jedną stronę. Wstawiała przed piątą, a wracała po siedemnastej. Zarabiała najniższą krajową, z której musiała jeszcze opłacić bilet miesięczny.

A ojciec? Po zamknięciu zakładu, gdzie był mechanikiem, zaczął pić. Niby pracował jako

budowlaniec, ale codziennie przychodził pijany. W weekendy bywało różnie. W piątki albo wracał na kolanach, albo w ogóle się nie pojawiał. W tym drugim przypadku matka wiedziała, gdzie go szukać – na izbie wytrzeźwień. Nie robiła mu awantur, ale ja i starszy o trzy lata brat słyszeliśmy, jak płakała i mówiła, że znów będzie musiała zapłacić za „hotel”.

Wówczas się nad tym nie zastanawiałem. Dziś, z perspektywy czasu, naprawdę nie rozumiem, skąd brała na to wszystko siłę. Przecież nie miała tylko dwójki dzieci, ale trójkę, bo ojciec zachowywał się jak dziecko. Nie miała w nim żadnego wsparcia. To nie było małżeństwo, w którym dzieli się obowiązki i razem wychowuje dzieci. Ona była jak samotna matka trójki urwisów. Musiała niańczyć nie tylko mnie i brata, ale i jego, czyli wiecznie niezadowolonego, zmęczonego „pana domu”.

To on odpoczywał po pracy. To on siedział godzinami w fotelu. To on leżał na łóżku, jakby cały świat miał mu służyć. A ona? Ona zapier-

dała bez wytchnienia. Gotowała, sprzątała, prasowała, robiła zakupy, wyrzucała śmieci, trzepała dywany. Wszystko było na jej głowie. Później, gdy trochę podrośliśmy, przejęliśmy część jej zajęć, ale wciąż większość należała do niej. Wszystko, co „domowe”, było jej obowiązkiem, jakby tak po prostu musiało być.

Dom traktowałem tylko jako sypialnię. Nie lubiłem tam przesiadywać. Wolałem dwór, gdzie mieliśmy różne gry i zabawy: podchody, dwa ognie, skakanki, gumy, które niby dla dziewczyn, ale i tak w to graliśmy. No i oczywiście piłka nożna.

Moje miasto nie było ani wielkie, ani małe – jakieś dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Znałem niemal każdy jego zakamarek. Ludzie mieli tutaj pracę, szkoły, sklepy z ciuchami, cukiernie, bary. Była nawet dyskoteka, w której, jak słyszałem od starszych chłopaków, miały miejsce „ciekawe sytuacje”.

Na moim osiedlu stało kilka czteropiętrowych bloków i dwa dziesięciopiętrowe

wieżowce. To tam zawsze „coś się działo”. Obcy raczej omijali to miejsce, a jak już przeszli, to wychodzili lżejsi o kilka złotych. Miejscowe dzieciaki wiedziały, że można tam oberwać z liścia albo stracić kieszonkowe. Starszym chłopakom się nudziło, więc wymyślali sobie różne „zabawy”. Między budynkami był kiosk, warzywniak, sklep chemiczny, papirniczy, mięsny, piekarnia i kilka spożywczałów. Ten obok szkoły nazywał się „U Basi” i był cały z szarej blachy.

Tamtego wiosennego dnia, przed wyjściem do szkoły, zjadłem dwie kromki chleba z mortadellą. Na drugie śniadanie miałem w butelce litr kranówki, którą wypilem przed drugą połową meczu. Po WF-ie była długa przerwa. Poszliśmy w pięciu poza teren placówki, do sklepu. Oranżada, w szklanej butelce o pojemności „zero trzydzieści trzy” litra, była tam o dziesięć groszy tańsza niż w szkolnym sklepiku. Kupiliśmy trzy oranżady na spółkę. Ja się nie dołożyłem, bo nigdy nie miałem swoich pieniędzy. Jeśli otrzymywałem jakieś od dziadków, to zabierali je rodzice, a kieszonkowego nie dostawałem.

Podczas tego wypadu po napój, pierwszy raz coś ukradłem. Gdy nikt nie patrzył, zwędziłem butelkę oranżady. Koledzy pili i rozmawiali, a ja w tym czasie wyjąłem jedną ze skrzynki. Palce miałem zimne, a dłonie spocone. W uszach czułem pulsowanie serca. Czekałem tylko, aż ktoś złapie mnie za ramię i wrzaśnie: „Co ty wyprawiasz?!”.

Ale nic się takiego nie stało. Wsunąłem butelkę do plecaka, poszedłem do szkolnej łazienki, do najdalszej kabiny. Tam, gdzie zwykle śmierdziało. Otworzyłem oranżadę i wypilem połowę duszkiem. Smakowała jak zwycięstwo. Jak coś mojego. Pierwszy raz od dawna miałem coś nie z łaski, nie po kimś. Zdobyłem to sam. Spodobało mi się to uczucie.

Stałem jeszcze chwilę, wpatrując się we własne odbicie w kafelkach.

Moim drugim łupem były gumy Turbo. Pamiętam ten dzień doskonale. Pojechałem na drugi koniec miasta, żeby nikt mnie nie

rozpoznał. Wszedłem do małego sklepu osiedlowego i ukradłem zawartość całego kartonu.

Dobrze na tym zarobiłem. Sprzedawałem obrazki dzieciakom z podwórka. Na kilku niespotykanych rarytasach zarobiłem fortunę. Trochę się bałem, że ktoś mnie rozpozna, ale byłem nijaki. Nie gruby, nie chudy. Nie niski, nie wysoki. I może właśnie to mnie ratowało.

Pamiętam, że te obrazki motoryzacyjne bardzo dobrze szły. Któregoś dnia postanowiłem wyruszyć w jeszcze inny rejon miasta. Wtedy już wiedziałem, po co się tam wybieram. Wsiadłem na rower i pojechałem.

Przed sklepem stałem dobre pół godziny, kręcąc się kilka kroków w prawo i w lewo. Nie dlatego, że nie mogłem się zdecydować czy wejść. Nie o to chodziło. Chciałem to zrobić i byłem zdecydowany. Tylko że do sklepu ciągle ktoś wchodził i wychodził. Babka miała niesamowity ruch.

W końcu zobaczyłem, że wszyscy wyszli i nikt nowy nie nadchodzi. Pomyślałem: „To mój czas”.

Wszedłem do środka.

– Dzień dobry. Poproszę oranżadę. Na miejscu – rzuciłem i zaraz poczułem wkurowienie, bo usłyszałem dźwięk dzwoneczka nad drzwiami. Ktoś ponownie wszedł. A miało być tak fajnie i łatwo. Miałem przyjechać na chwilę, wynieść towar, jak nikogo nie będzie, i wrócić do domu. Nie potrafiłem jeszcze wtedy tak kraść, żeby ktoś stojący za mną, tego nie widział.

Kupiłem oranżadę i zacząłem pić powoli. A nawet bardzo powoli.

Jakaś stara baba kupiła śmietanę i przy okazji gadała z ekspedientką. Myślałem, że nigdy nie skończą pierdolić o jakiejś zupie. O tym jak ta baba niby wszystko ma gotowe i zaraz jej stary wraca z pracy, ale okazało się, że nie ma czym doprawić pomidorówki. Na szczęście w końcu sobie poszła, a ja miałem do wypicia jeszcze ponad pół butelki.

Widziałem, jak babka, ta ze sklepu, na mnie patrzy, ale nic nie mówiła. Po chwili wyszła na zaplecze. Przysunąłem się bliżej lady. Stał na

niej karton z gumami Turbo i Donald. Interesowały mnie te pierwsze, bo lepiej schodziły.

Podszedłem na kilkanaście centymetrów. Zauważyłem, że babka jednak wróciła. Nic nie mówiłem. Patrzyłem na gumy kulki i rzuciłem:

– Proszę jedną zieloną.

– Zapłaciłem. Schowałem gumę do kieszeni i znowu przysunąłem się do szyby. Sącyłem oranżadę dalej.

Kurwa. Jak tak dalej pójdzie, to wydam tutaj całą „wypłatę” i niczego nie zarobię; pomyślałem.

Przy pierwszej okazji, kiedy wydawało mi się, że ekspedientka ponownie wyszła na zaplecze, podszedłem szybkim krokiem do lady, zgarnąłem garść gum i wybiegłem ze sklepu.

Tylko że się pomyliłem, bo facetka wcale nie wyszła. Schyliła się, by coś ułożyć na dolnej półce.

Wszystko widziała. Zaraz zaczęła drzeć mordę, wybiegła za mną i krzyczała:

– Stój! Złodziej! Łapać go!

Uciekając o mało się nie wywaliłem, bo zapomniałem o trzech schodach. Jakoś udało mi się złapać równowagę, ale kosztem gum, gdyż podparłem się ręką, w której je trzymałem. Nigdy nie byłem oburęczny. Gumy ukradłem prawą ręką i tą samą się podparłem. No nic, najważniejsze, że się nie wyjechałem i mogłem się stamtąd zawinąć.

Pędzę w stronę roweru. Wsiadam. Odjeżdżam. A ta pizda dalej za mną biegnie i drze ryja. Przecież, kurwa, nie miałem już jej gum! Po co za mną goniła? Nie miałem pojęcia.

Pedałowałem, jakbym był na finiszu Wyścigu Pokoju i nagle słyszę jakiś męski głos:

– Łapać złodzieja! Ukradł rower!

Na szczęście nikogo innego nie było, więc im nawiałem. Jechałem najszybciej jak potrafiłem. Bałem się odwrócić. Pędziłem, więc tylko przed siebie. Po chwili nie miałem już sił. Zwolniłem i się zatrzymałem. Od dawna nie słyszałem krzyków, jednak, żeby upewnić się, że jestem czysty, zerknąłem do tyłu i odetchnąłem. Nikt mnie nie ścigał.

Co prawda nie zdobyłem towaru i byłem spalony w tamtym miejscu, ale nie zostałem złapany. Udało się – fartem. A co gdyby skończyło się inaczej? Mogłem zostać oklepany przez tego faceta lub mogli mnie podać na policję. Po tej akcji przemałowałem rower, bo się bałem, że ktoś może mnie rozpoznać. Pamiętam, że kupiłem farbę w sprayu i jakieś naklejki na rower.

Na kolejny „interes” pojechałem z bratem do Olsztyna. Odkrył moją tajemnicę. Dzieliliśmy pokój, więc nie mogłem niczego przed nim ukryć. Znalazł kasę i gdy dowiedział się, skąd ją mam, zaproponował wyprawę do dużego miasta. Miał rację – większe możliwości, mniejsze ryzyko.

Ale zapomnieliśmy o jednym.

– Ej! – Usłyszałem, gdy przechodziliśmy obok ostatniej bramy obdartej kamienicy przy dworcu. Odwróciłem się i to był błąd.

– Podejdz tutaj – rzucił jakiś dresiarz. Nie chciałem. Spojrzałem na brata, ale w jego oczach widziałem tylko strach.

Nagle stanęło przy nas trzech większych i starszych chłopaków.

– Skąd jesteście? – zapytał jeden z nich.

Odpowiedziałem prawdę i wtedy poczułem pieczenie na twarzy – dostałem z liścia.

Chwilę później usłyszałem, jak ktoś krzyknął:
– Wyskakuj z kasy!

Byłem sparaliżowany – nie mogłem nic powiedzieć, a nogi miałem jak z waty. Brat pokazał im reklamówkę, w której były nasze fanty. Wszystko im oddał, a mieliśmy tego naprawdę sporo.

Pamiętam, że znajdowały się w niej dwie paczki papierosów, kilka czekolad i batonów, gumy do żucia, parę dezodorantów, pasty do zębów, a nawet wino. Wszystko poszło w pizdu.

Tubylcy zabrali nam zdobycz i solidnie „oklepali”.

Do domu wracaliśmy po cichu, bez słowa, poobijani, zmęczeni i z podbitymi oczami. Ale wiedziałem jedno; z każdej porażki należy wyciągnąć wnioski i obiecałem sobie, że następnym razem, to ja będę górą.

Życie nie daje drugich szans. Ono daje **ostatnie ostrzeżenie**.

Witek dorastał w blokowisku, gdzie o szacunek walczyło się pięściami, a buty po starszym bracie były normą. Pierwsza kradzież butelki oranżady dała mu smak zwycięstwa – smak czegoś, co było tylko jego. Z biegiem lat drobne złodziejskie akcje przerodziły się w poważne interesy: kradzieże drogocennych rzeczy, przemyt, aż po bezwzględną wojnę z miejscowym półświatkiem.

Więzienie stało się jego drugim domem. Wyszedł z niego twardszy, z planem na uczciwe życie. Założył warsztat, znalazł miłość, uwierzył, że może być inaczej. Ale przeszłość nie odpuszcza tak łatwo.

Gdy pojawia się stary znajomy z celi z propozycją „nie do odrzucenia”, Witek staje przed najtrudniejszym wyborem: honor czy wolność?

„**SPOWIEDŹ WITKA**” to wstrząsająca, napisana z brutalną szczerością opowieść o człowieku, który całe życie zmagał się z własnymi demonami i systemem, który nie daje szans na naprawę. To historia walki o godność w świecie, gdzie jeden błąd może zaciążyć na całym życiu.

Doceniona przez czytelników serwisu

Lubimyczytac.pl i bokstagramerów

„To bardzo ciekawie napisane opowiadanie... idealnie oddaje charakter Witka.” – *zaczytana_mom_of_3*

„Niby taka prosta historia przestępcy... a jednak jest w niej coś, co nie pozwala o niej zapomnieć.” – *mamy_and_books*

Powieść **Zamaskowany**
dostępna w topowych
księgarniach internetowych



@wydawnictwodarkboat



Książka dostępna
w wersji tradycyjnej

